



Kryminał z myszką

52

Sreb- rzysta śmierć

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

SREBRZYSTA ŚMIERĆ

Kryminał z myszką – Tom 52

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-46-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1959, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Kapitan Szczęsny z Komendy Miasta MO wracał późnym, kwietniowym wieczorem z Jeziorny do Warszawy. Mgła była tak gęsta, że światło reflektora z trudem przebijało przez nią, jak przez brudnożółtą watę. Jawa 350 podskakiwała na wybojach i zataczała się niebezpiecznie na śliskich, błotnistych zakrętach.

Kapitan odchylił rękaw skórzanej kurtki i spojrzał na fosforyzujące cyferki zegarka. Dochodziła dziewiąta. – Późno – mruknął do siebie. Od Wilanowa szosa była pusta. Gwiżdżąc refren jakiejś piosenki, który uparcie powracał mu na myśl, zwiększył trochę szybkość.

To, co się stało potem, było sprawą zaledwie kilku sekund. Czarny i jak mu się zdawało, ogromny samochód osobowy przemknął tuż koło niego z szumem i piskiem hamulców, potrącając go z taką siłą, że zanim zorientował się, co właściwie zaszło, leżał już razem z motocyklem w przydrożnym rowie.

– Ach, ty cholero! – krzyknął, wyłaząc spod motoru, który mimo upadku nie przestał pracować. Kłął tak chyba z minutę. Sprawilo mu to ulgę i dało jedyną możliwość rewanżu. Pościg bowiem za samochodem, który znikł dawno na zakręcie, w dodatku w taką mgłę – byłby szaleństwem. Biały Kapitan lubił szaleństwa, o ile miały choćby minimalną szansę powodzenia. Tutaj jednak szans nie było.

Podniósł jawę i stwierdziwszy, że prócz lekkiego wygięcia rury wydechowej nie poniosła szwanku, zajął się własną osobą. Na szczęście był tylko od stóp do głów pokryty czarną, błotnistą mazią.

W takim stanie trudno było jednak pokazać się w Warszawie, nawet po dziewiątej wieczorem. Wyciągnął więc z torby kilka szmatek, wytarł twarz i ręce, po czym wyłączył silnik i zapaliwszy latarkę elektryczną, zatoczył świetlny krąg dokoła.

Mimo mgły wiedział, że nie minął jeszcze Sadyby. Gdzieś tu blisko wybudowano tej zimy kilkanaście domków jednorodzinnych – takich z maleńkim ogródkiem i garażem, marzenie przeciętnego warszawiaka, który lubi łączyć przedsmak wsi z wielkomiejskimi wygodami.

Kapitan rozglądał się uważnie. Mgła gęstniała coraz bardziej i przypominała zawieszoną w powietrzu zupę grochową. Nie było mowy, aby dostrzec w niej któryś z domków, chyba że natrafi się na niego, macając dokoła kijem jak ślepiec.

Ujął jawę za kierownicę i postąpił parę kroków naprzód. Nagle poczuł, że przednie koło opiera się o coś twardego. Wyciągnął rękę i natrafił na metalową siatkę jakiegoś ogrodzenia. Przesuwając palcami po uginających się prętach, wykręcił motocykl w prawo i poprowadził go wzdłuż płotu aż do furtki. Była otwarta. Oparł o nią jawę i zawahał się. Zostawić? Chyba w tej „grochówce” nikt nie będzie się pętał po drogach. Na wszelki wypadek wciągnął swój wehikuł parę metrów dalej, do ogródka, i postawił go przy murze.

Do domku wchodziło się po dwóch schodkach. Okna parteru były ciemne. Widocznie mieszkańcy spali już albo wyszli.

Stał przez chwilę niezdecydowany, z ręką wyciągniętą w stronę, gdzie powinien być dzwonek. W końcu spojrzał jeszcze raz w ciemne okna i zszedłszy ze schodków, okrążył dom dokoła. Z tyłu było z pewnością drugie wejście, kuchenne; może tam znajdzie kogoś, kto nie śpi.

Spoza uchylonych drzwi biła na podwórze jasna, szeroka smuga światła. Kapitan wszedł do maleńkiej sionki. Na lewo była kuchnia. Zobaczył białe kafelkowe ściany, nowiutki zlew, stertę brudnych naczyń na stole i płomyk gazowy, buzujący pod imbrykiem. Chrząknął, a że nikt na to nie zareagował, zajrzał głębiej. Kuchnia była pusta.

Na prawo od wejścia biało lakierowane schody wyściełane czerwonym chodnikiem prowadziły w górę, na piętro. Przyjemny domek – pomyślał. A potem dostrzegł czarną, błotnistą plamę na podłodze sionki. Trudno byłoby zaprzeczyć, że pojawiła się ona tutaj wraz z jego wejściem...

Biały Kapitan przyjrzał się plamie ze stoickim spokojem i wzruszył ramionami. Trudno. Jak będą bardzo się gniewać, to wymyję. Czekał jeszcze chwilę, po czym zastukał energicznie w drzwi obok schodów. Musiały przecież prowadzić do jakiegoś pokoju, a oświetlona kuchnia wskazywała, że właściciele jednak nie śpią.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w granatowym szlafroku przewiązanym jedwabnym sznurem. Twarz jego, bardzo blada, była gniewna.

– Tyle razy mówi... – zaczął i urwał. Na widok zabłoconej postaci obcego człowieka gniew jego zmienił się w zdumienie i coś na kształt strachu. Cofnął się i milczał, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

– Bardzo przepraszam – zaczął Szczęsny – przejeżdżałem tędy drogą i wywróciłem się razem z motocyklem. Czy nie byłby pan tak uprzejmy i umożliwił mi umycie się? Może po prostu da mi pan jakąś miskę z wodą i kawałek mydła, a ja to zrobię w podwórzu, żeby nie zachlapać mieszkania. I tak już... – z zażenowaniem spojrzał na zabłoconą podłogę.

Wysoki mężczyzna wciąż milczał, patrząc na mówiącego; zdawało się, że nie rozumie jego słów.

– Gdzie gosposia była? – odezwał się nagle, przenosząc wzrok poza oficera. – Dlaczego gosposia nie pilnuje mieszkania?

Głos miał chłodny, beznamiętny i przykry. Cedził słowa przez zęby, ledwie poruszając wargami.

Kapitan odwrócił się. Za nim stała stara kobieta w szarym fartuchu. Jej niewielkie, spłowiałe oczy biegały po twarzach obu mężczyzn; dojrzała brudną podłogę i załamała ręce typowym gestem wiejskiej baby.

– Świeżo umyta! – szepnęła ze zgrozą. – Skaranie boskie z tymi...

Obrzuciła kapitana złym spojrzeniem.

– Gdzie gosposia była? – powtórzył przygarbiony pan.

– W podwórzu. Królikom wodę nosiłam.

– Tak późno?

– No przecie pan ciągiem wołał to o herbatę, to o kawę dla tych tam... – poprawiła się – dla tych państwa.

Szczęsny stał w milczeniu, czekając cierpliwie, aż skończą rozmowę. Jego czarne, spokojne, oczy lustrowały tymczasem wewnątrz obszernego pokoju. Znajdowały się w nim jeszcze cztery osoby. Zdziwiło go trochę, że żadna z nich nie wstała z miejsca i nie podeszła, choćby z prostej ciekawości, aby obejrzeć obcego przybysza. Instynkt wywiadowcy i oficera milicji obudził się w nim nagle z drzemki. Coś mu się w tym domu nie podobało. Zaczął bezceremonialnie przyglądać się jego mieszkańcom.

Najbliżej drzwi, na niskiej szerokiej amerykance siedziało dwoje ludzi. Młoda czarnowłosa kobieta o ciemnych, dziwnie tragicznych oczach i lekko zaróżowionej twarzy oraz rosły, dobrze zbudowany mężczyzna z charakterystyczną blizną na lewym policzku. Oboje patrzyli na niego raczej obojętnie, kobieta z pewnym zniecierpliwieniem. Szczęsnemu wydało się, że czeka na coś, w czym jego nagła wizyta przeszkodziła.

Przed amerykanką stał mały, okrągły stolik, na który śpiesznie widać, bo krzywo i niedbale, narzucono serwetę.

Po drugiej stronie stolika, przy kominku, chuda starsza pani w okularach, wtulona w głęboki fotel, zdawała się drzemać. Był jeszcze zupełnie młody, może dwudziestoletni, bardzo ładny chłopiec o twarzy zawodowego aktora czy tancerza. Ten najwyraźniej

denerwował się, a napotkawszy wzrok Szczęsnego cofnął się z fotelem w głąb pokoju, ukrywając twarz w cieniu.

Wysoki pan w szlafroku, widocznie właściciel domu, odwrócił się nagle w stronę oficera.

– Po co pan tu przyszedł?

– Przecież mówiłem – odparł Szczęsny z lekkim zdziwieniem – i jeszcze raz przepraszam za najście o tak późnej porze. Chciałbym tylko prosić o trochę wody. Nie mogę przecież w takim stanie jechać przez miasto. Widzi pan, jaki jestem obłocony...

Mówiąc to, zastanowił się przez chwilę, czy tamci mogą zorientować się, że mają przed sobą oficera milicji, i doszedł do wniosku, że nie. Pod zamszową kurtką nie było widać munduru, skórzana pilotka wskazywała raczej na cywila, a granatowe spodnie były w okropny sposób zachlapane błotem.

Fakt, że wygląda jak cywil, był Szczęsnemu w tej chwili raczej na rękę.

– Gdzie pan zostawił motocykl? – zapytał pan w szlafroku.

– Niedaleko, parę kroków stąd. Czy to spokojne osiedle?

– Gospośiu, proszę dać panu wody i jakiś ręcznik – powiedział mężczyzna, nie zwracając uwagi na zapytanie.

– Ale tam, zaraz ręcznik! – burknęła. – Szmataę dam. Jak ukradnie, nie będzie straty.

Kapitan przygryzł wargi.

– W takim razie... czy w podwórzu jest studnia? – zapytał ostro.

– Nie ma. Dwa domy dalej, w lewo.

– Nonsens – przerwał wysoki. – Dostanie pan to, co powiedziałem, a gospośia niech nie zmienia moich poleceń. Proszę – odsunął się trochę – niech pan przejdzie do kuchni.

– Po gazecie! – krzyknęła stara, rozrzucając na podłodze kilka numerów „Życia Warszawy”.

Szczęsny wszedł prawie na palcach, starając się nie dotknąć niedawno widać malowanych krzeseł i stołu. Kuchnia była duża, w głębi widniała wnęka, a w niej łóżko zasłane wysoko śnieżnobiałymi poduszkami.

Stara kobieta, czując na sobie wzrok wciąż stojącego w sionce pana domu, podała kapitanowi, co jej kazano. Obserwowała nieżyczliwie, jak się mył i ostrożnie ścierał błoto przyschnięte do kurtki. Gdy zdjął skórzaną pilotkę, jasne, prawie białe włosy rozsypały mu się nad opalonym czołem.

– Myślałem, że pan jest brunetem – zauważył przygarbiony mężczyzna, przypatrując mu się badawczo.

Szczęsny uśmiechnął się przelotnie.

– O, skaleczył się pan w rękę! – dodał tamten pokazując krew sączącą się z przeciętej dłoni.

– Tak, rzeczywiście... nie zauważyłem – odparł kapitan. – Nic wielkiego, tylko skóra przecięta.

– Trzeba jednak zawinąć, bo może pan zanieczyścić ranę i nastąpi zakażenie. Zaraz przyniosę bandaż i jodynę.

– Ależ nie, proszę pana! – Szczęsny przytrzymał go za rękę. – Na mnie goi się jak na psie. Nie trzeba.

– Niech pan przewiąże chusteczką – usłyszał miękki, kobiecy głos. Obok wysokiego pana stała teraz czarnowłosa kobieta o tragicznych oczach. W ręku miała zwiniętą białą chusteczkę. Przyłożyła ją do skaleczonej dłoni oficera i zawiąawszy końce, spojrzała na niego z półuśmiechem.

– Gotowe – szepnęła.

Zdziwiony, przyglądał się przez chwilę jej oczom. Miała ogromne, nienaturalnie rozszerzone źrenice. Atropina? – pomyślał. – Co oni tam robili w tym pokoju?

– Idź stąd, Jola! – rzucił mężczyzna w szlafroku.

– Och, niedobrze mi! – wyjąkała nagle, ściskając palcami skronie. – I głowa boli.

– Idź stąd! – powtórzył. W głosie jego czaiła się groźba.

– Może dać pani proszek? – zapytał Szczęsny, sięgając do kieszeni. Nosił zwykle przy sobie tabletki „z krzyżykiem”.

– Proszek? – zawołali oboje niemal jednocześnie. Ton, jakim wymówili to proste słowo, był tak zastanawiający, że oficer zawahał się i popatrzał na nich uważnie.

– Skarżyła się pani na ból głowy, więc... – wyjął z kieszeni wąskie tekturowe pudełeczko.

– Ach nie, dziękuję. – Oczy kobiety jakby przygasły, twarz zubożała. Wysoki pan zmarszczył brwi.

– Odejdiesz teraz, rozumiesz? – syknął, ujmując ją silnie pod ramię. Gdy znikali w drzwiach pokoju, odwrócił głowę i mruknął: – Do widzenia panu!

– Do widzenia i dziękuję za pomoc – odparł kapitan.

Odłożył na krzesło wilgotny ręcznik i pożegnawszy zgryźliwą gospozię, wyszedł na podwórze. Nie od razu jednak skierował się w stronę, gdzie zostawił motocykl. Ostrożnie stąpając, podszedł do frontowego wejścia i zatrzymał się pod oknami.

Poprzednio nie zauważył, że przez szczelnie dopasowane zasłony przebijał jednak słaby, ledwie widoczny odblask światła. Zaciemnianie niczym za okupacji – pomyślał, wzruszając ramionami. – Trzeba będzie kiedyś bliżej przypatrzeć się temu domowi.

Zainteresowało go milczenie panujące w pokoju. Cienkie ściany z jakichś prefabrykatów, prawdopodobnie żużlobetonu, nie stanowiły izolacji dla dźwięków. Usłyszał czyjeś chrząknięcie, skrzypienie fotela, potem lekki brzęk, jakby ktoś przesunął po stole szklany przedmiot. Nikt jednak nie rozmawiał. Czyżby zorientowali się, że nie odszedł i czatuje pod oknami?

Stał jeszcze chwilę, nad czymś rozmyślając, po czym gwizdnął dwukrotnie. Niemal natychmiast usłyszał szczęk otwieranego okna i odskoczył w bok, kryjąc się za murem. Czyjaś głowa wychyliła się poza parapet, usiłując widocznie przebić wzrokiem żółty kozuch mgły.

– Nikogo nie ma, zdawało ci się – powiedział młody męski głos, z pewnością nienależący do gospodarza domu. – Straszna mgła, nic nie widać.

– Nie słyszałem warkotu motoru – doleciało z głębi pokoju. To mówił przygarbiony pan w szlafroku.

– Na pewno już odjechał. – Był to jeszcze inny głos męski, mocny, ciepły baryton.

– Na miłość boską, zamknijcie to okno! Panie Jureczku! – zawołała jedna z kobiet.

– Może prowadzi motocykl, bo ślisko – rzucił młody głos. – Czy mam zobaczyć?

– Nie trzeba, zawracanie głowy – odparł baryton. – Inżynier ma zawsze jakieś nieuzasadnione...

Reszta zdania utonęła w szczęku zamykanego okna.

– A więc właściciel domu jest inżynierem – powiedział do siebie Biały Kapitan. – Jest to niewątpliwie ważny szczegół z biografii nieznanego pana w szlafroku.

Podprowadził motocykl dobre kilkadziesiąt metrów dalej, aż dojrzał zakręt i szosę; wtedy dopiero zapuścił motor.

Czuł się jakoś dziwnie podniecony. Nie odczuwał w tej chwili zmęczenia ani głodu, choć nie jadł od wczesnego południa. Dopinając guzik przy kurtce, bo przejęło go nagle zimno, zauważył, że ręce drżą mu jak w febrze. Czyżby grypa? – zdumiał się. Jaszczce godzinę temu czuł się zupełnie normalnie. Raptownie zacisnął palce na kierownicy, doprowadzając motor do równowagi; przed sekundą bowiem zatoczył się z jednego końca szosy na drugi, niczym pijak. Powodem tego był nagły zawrót głowy, tak silny, że Szczęsnemu pociemniało w oczach.

Przyhamował i jechał bardzo wolno, daremnie próbując powstrzymać drżenie mięśni całego ciała. Zrozumiał, że to nie grypa, że dzieje się z nim coś dziwnego, czego jeszcze nigdy nie doświadczał. Przyszło mu na myśl, że zatrzał się czymś – ale czym? Obiad jadł w domu komendanta posterunku w Jeziornie; nie było to nic takiego, czego by jego strusi żołądek nie mógł strawić. Jakaś zupa jarzynowa, kielbasa na gorąco... może to ta kielbasa?

Serce biło mu nierówno, o wiele szybciej niż zwykle. W tym wszystkim jednak najbardziej dziwiło go podniecenie nerwowe i jakiś niepokój. Miał ochotę gnać przed siebie, gdzie oczy poniosą, lewą rękę raz po raz odrywał od kierownicy, jakby nie mogąc znaleźć dla niej odpowiedniego miejsca.

Nagle wzrok jego padł na skaleczoną dłoń. Była przedtem zabrudzona błotem. Może tak właśnie wyglądają początki tęcza? Usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego uczył się o tęczu w okresie swych dwuletnich studiów medycznych, ale pamięć – zwykle niezawodna – teraz odmówiła mu posłuszeństwa. Płatały się w niej jakieś obrazy, kolory, twarze... powietrze wibrowało szumem setek motorów... raptem zachciało mu się śmiać – tak zabawnie wyglądały uliczne latarnie.

Zaciął zęby. Wjeżdżał już na Belwederską, był prawie w centrum Warszawy; co będzie, jak ktoś z Komendy Ruchu MO zatrzyma go w tym stanie? Pomyślał, że pijany.

Przygryzł mocno dolną wargę, aż poczuł metaliczny smak krwi. Ból otrzeźwił go na tyle, że prawidłowo wjechał w Aleje Ujazdowskie, minął trolejbus i dwie ciężarówki. W Piękną skręcał jednak tak niepewnie, że stojący na rogu milicjant przyjrzał mu się podejrzliwie. Na szczęście był to znajomy kapral. Szczęsny przywołał go niecierpliwym ruchem głowy.

– Co wam jest, kapitanie? – zdziwił się tamten, widząc przewiazaną rękę i zabłocone spodnie. – Mielicie krakę?

– Tak. Diabelnie ślisko – odparł Biały Kapitan, szczękając zębami. – Poza tym... mam grypę. Weźcie motor – albo nie, zaraz... ja mieszkam tu, na rogu...

– Pomogę wam. Przesuńcie się do tyłu, ja poprowadzę. Złapcie mnie za pas.

– Cholera! – zaklął Szczęsny, złączając z siodełka. Znów zakręciło mu się w głowie, o mało nie upadł. Na ustach kaprała dostrzegł błakający się dziwny uśmiezek. – Myślicie, że jestem pijany, co?

– Każdemu może się zdarzyć – odparł podoficer wymijająco. – Albo to milicjant nie człowiek?

– Idź do diabła! – fuknął gniewnie kapitan, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. – Jedźmy już.

Z pomocą kaprała wtaszczył jakoś motocykl do garażu, zamknął i podziękowawszy, wjechał windą na piąte piętro.

Niewątpliwie miał gorączkę, ale nie chciało mu się spać. Chodził po pokoju, gwiżdżąc i pogadując coś do siebie. Nastawił radio, potem zamknął, wyciągnął się na tapczanie, po chwili jednak coś go poderwało i zaczął znów krążyć nerwowo od ściany do drzwi, od drzwi do okna. Zdawało mu się, że ktoś do niego mówi: – Zapomniałeś kapelusza! – i odparł głośno temu komuś, że deszcz przecież nie pada. Potem zobaczył kolorową smugę, przesuwającą się od sufitu w dół do podłogi. W smudze tej coś grało.

– Jakie to śliczne! – zawołał, podchodząc bliżej, ale smuga już znikła. Pojawiły się natomiast niebieskie i zielone kółka tańczące pod sufitem.

Ostatnim wysiłkiem woli skupił rozbiegane myśli i podszedłszy do telefonu, nakręcił numer znajomego lekarza medycyny sądowej, doktora Sterna, który stale współpracował z Komendą Miasta.

– Proszę, tu Stern – usłyszał po chwili w słuchawce. Przełknął ślinę.

– Mówi... – urwał. Język mu się plątał. – Panie doktorze, coś się ze mną dzieje – powiedział z rozpaczą w głosie.

– To pan, kapitanie? – spytał lekarz zdziwiony. – Gdzie pan jest?
– Chyba w domu. Ja nie wiem. W pokoju są kolorowe..., a potem grają. Doktorze! – krzyknął, zaciskając palce na słuchawce.

– No w porządku. Zaraz tam przyjadę.

Zalał się? – myślał doktor Stern, wkładając płaszcz i szkocki beret. To było jednak zupełnie niepodobne do Białego Kapitana. Znał go od kilku lat i wiedział, że nigdy nie używa alkoholu. Więc chyba ma wysoką gorączkę. Ale przecież wczoraj wieczorem był jeszcze zupełnie zdrow. Pewnie grypa – skonstatował. Na wszelki wypadek włożył do teczki pudełko z motopiryną.

– Marysiu, wychodzę do chorego! – zawołał w stronę łazienki, z której dolatywało bełkotanie: grrr... Żona płukała gardło. – Może zostanę tam trochę dłużej – dodał uspokajająco.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI